

Jacek Sieradzki

CHUDY ARTYSTA WITA SIĘ Z REŻYMEM

Wieki całe nie widziałem takiej scenografii. Tak starannie odrobionej, niczym kopia starego zdjęcia. Pracownie Teatru Nowego pod kierunkiem Tomasza Walesiaka zbudowały replikę poznańskiego dwupoziomowego mieszkania z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Z solidnymi ścianami, kredensami, elipsoidalnym stołem, z masywnymi schodkami na piętro. Z niepasującym do mieszczańskich sprzętów piecykiem typu koza – i z masywnym portretem towarzysza Stalina. Lokal przedstawiał siedzibę oddziału Związku Literatów, pokój na górze zajmował był prezes, Wojciech Bąk, uznany poeta. Za chwilę miał zostać wywleczony z tego gniazdka wprost do psychiatryka, zaświadczać swoim przykładem proceder miażdżenia niepokornych artystów przez walec epoki.

Odwykliśmy od takich scenerii, dosłownych, drobiazgowych, słabo otwierających się na uogólnienia czy metafory; bywalcy nowego teatru pewnie wzruszyli ramionami. A mnie się zdaje, że wszystko najciekawsze kryło się właśnie w tym obrazie, do którego opisu najlepiej pasuje zapomniany z kretesem przymiotnik realistyczny.

Sama opowieść o losach Wojciecha Bąka wypadła pospiesznie i – jakkolwiek źle to brzmi wobec rzeczywistych prześladowań – standardowo. Pisał nieprawomyślne wiersze i odezwy, zadenuncjowali go konfratry po piórze. Trafił do zakładu zamkniętego. Badał go, a właściwie po ubecku przesłuchiwał doktor Jan Barańczak, co mogło natchnąć twórców myślą wpuszczenia do spektaklu jego syna jako komentatora i ekspianta. I Stanisław Barańczak (Mateusz Ławrynowicz) miał surrealistyczne wejście, wyłaniając się z trąbką w dłoni z... klozetu prezesa. Aliści o gospodarzu dano mu do mówienia głównie komunały typu *dzięki panu byłem mocniejszy*. A potem oglądaliśmy dokrętki, gdy poeta, ofiar nie grany przez Dariusza Pieroga, gania po Placu Wolności i zaczepia ludzi w ławkach płomiennymi przemowami. Łatwizna schematu (szalony artysta *versus* przemoc lub obojętność) miała prawo irytować; poznańscy krytycy z lubością wzięli się za przypominanie, że z Bąkiem, jego wariackimi postępkami, poglądami i konfliktem ze środowiskiem nie było wcale ani tak prosto, ani jednoznacznie.

Ale przecież autorzy widowiska też mieli tego świadomość. Grzesząc uproszczeniami w jednej warstwie, odpracowywali je precyzją i czułością obserwacji w innych sekwencjach, tych bez współczesnych filmików i członków KOR-u z trąbką.

Patrząc na literatów schodzących się na związkowe zebranie, miałem nieodparte wrażenie, że Marcin Kącki, świetny reportażysta, pisze właśnie, wraz z reżyserką Anetą Groszyńską i z aktorami historyczno-środowiskowy portret zbiorowy dla „Dużego Formatu”. Zgodny z obowiązującymi w tym gatunku zasadami: nie oceniać, nie potępiać, pokazywać w dobrym i złym, w godnym i śmiesznym, miłym i żalonym. Empatycznie, acz bez rozgrzeszania. I z tłem. A w tle odmalowano powojenny Poznań, w którym nie za bardzo jest gdzie mieszkać i za co żyć. W którym służbowe mieszkanko jest oskomą dla każdego, choćby dla pisarki, która poobozowe traumy musi tłumić w ciasnej komunałce. A inny chudy literat przyłazi przed zebraniem sępić cukier u gospodyni lokalu. Ta zaś wspaniała proletariuszka (Maria Rybarczyk) ofiarowuje książkowemu bractwu swą życiową zaradność, bo sama amatorsko pisze i chce się dostać do związku. Ale się nie dostanie, ponieważ zapasy wyższości klanowej literaci mają niewyczerpane, choć w kieszeniach pusto.

I gdy przychodzi wieść, że zabierają im gazetę – a zabierają, bo prezes Bąk, nikomu nic nie mówiąc, wałnął tam wolnościowy wstępniak – ból przy stole ma pozaideową, przyziemną przyczynę: szlag trafił jedną z rozpaczliwie rzadkich okazji zarobienia pieniędzy za twórczość. Odtąd będziemy przyglądać się powolnemu dojrzewaniu inteligentnych głów do łajdactwa, do sprokurowania owego donosu, w wyniku którego Wojciech Bąk trafi do czubków. Dojrzewaniu w półśłówkach, mruknięciach, zamilknięciach, głuszeniu wątpliwości. W usprawiedliwiającej nadziei, że coś się przez to poprawi. Płonnej. Mieszkanko na piętrze i tak przypadnie najgorliwyszemu, który ściągnie na zebranie żonę, by domowym ciastem i przymilnością skokietowała wysłannika ze stolicy decydującego o przydziale. Żalotne? Ale ona naprawdę jest w ciąży, oni naprawdę nie mają gdzie miesz-

kać i naprawdę nie mają jak uczciwie zdobyć tego lokum. Miły reżymowi donos podpiszą wszyscy. I cisi, i krzykacze, i starsi panowie przedwojenni, zasiadający przy bocznym stoliku, zdystansowani wobec nowej rzeczywistości. Podpiszą, najwyżej z grymasem odrazy i niesmaku.

Jeszcze słowo o owym towarzyszu ze stolicy błędnie szkicowanym przez Ildefonsa Stachowiaka. Facet z teczuszką, w okularach, z tłustą fryzurą – ale nie karykatura komunistycznego biurokraty, śmieszna i rozbrojona. Facet z uśmiechem, w którym nie ma sympatii. Ktoś, kto znalazł przyjemność w takim cedzeniu pustych słów, że wygląda, jakby pod nimi coś się kryło. Jakieś podejrzenie, jakaś insynuacja. To działa: rozmówcy peszą się, płaczą, gubią resztki pewności siebie, a przy okazji plotą głupstwa, które przydadzą się do rozgrywania innych trzęsących portkami towarzyszy. To nawet nie musi być ubeckie, facet niekoniecznie jest kimś ważnym w służbach czy w hierarchii literatów posłusznych. Być może jest po prostu aparaczykiem, jednym z tych, którzy utrzymują porządek w państwie, kontrolują, co trzeba, dbają, żeby pokorni otrzymali swoją porcję strachu i niepewności, a niepokorni dostali po łbie – najlepiej wprost od pokornych, choćby w formie donosu, bo to doskonale petryfikuje pożądane stosunki społeczne.

Mówił nam kto ostatnio takie rzeczy w teatrze? Nie pamiętam. Opowieści historyczne bądź biograficzne, których powstaje sporo, wkładane są z miejsca w generalizujące i ujednoznaczniające szablony: ma być powiedziane dużymi literami, na czym się zasadza konflikt, kto jest dobry, kto zły, i co jest do udowodnienia. I portret Bąka z poznańskiego spektaklu też się w takim szablonie mieści. Więc paradoksalnie *Krzycz. Byle ciszej* jest rzadkim przypadkiem hybrydy: jeden teatr chowa się w drugim. Za fasadą nowoczesnego widowiska z nieciągłością fabuły, anachronizmami, groteską, kryje się spektakl ostentacyjnie tradycyjny od strony konwencji, w którym sięga się po realistyczne środki, w którym, *horribile dictu*, portretuje się ludzi, ignorując to, co teatrologia nazywa kryzysem reprezentacji. Gra się ludzi wprost, bez dystansu – z ich ambicjami, dołowaniami, morzem kompleksów i lęków, kompromitacjami, z ich walką o przyzwoitość, raczej przegrywaną, ale przecież podejmowaną, i to nie od wielkiego dzwo-
nu. Patrzyłem na ten niemodny teatr z sympatią, wiedząc przy tym, że ów wizerunek wspólnoty chudych literatów skutecznie wciąganej w objęcia reżymu bez zamykania w wariatkowie nie jest nawet jakoś specjalnie odkrywczy czy oryginalny.

Jest po prostu przenikliwie zobaczony. A takiego patrzenia na bliźnich, bez uprzedzeń, protek-

cyjności, pochopnych ocen – potwornie dziś brak. Zgubiliśmy to spojrzenie i w teatrze, i poza teatrem. Umiemy tylko szeroko otwierać zdziwione oczęta, gdy życie społeczne kręci nam kolejne nieoczekiwane piruety.

Powie ktoś, że to prehistoria. Że z losów poznańskich pisarzy sprzed siedemdziesięciu lat nikt się dziś niczego nie dowie. Żadnego mechanizmu nie rozpozna. Na pewno?

Sytuacja bytowa dzisiejszych ludzi sceny, zwłaszcza młodych i zwłaszcza bezetatowych, jest tragiczna: literalnie nie mają za co żyć. Sprawił to koronawirus, który wstrzymał występy, a więc i honoraria. Ale fala niezadowolenia wzbierała na zapleczu teatrów grubo wcześniej. Miała wewnętrzny charakter: narzekano na kominy płacowe uznanych reżyserów przy groszowych gażach *plebsu*. Złość się wciąż kumuluje.

Absolutna większość polskich teatrów żyje z publicznych pieniędzy. Przez dekady rządów liberałów mówiło się o wprowadzeniu dodatkowych mechanizmów finansowania (podatkowe odpisy), na mówieniu się skończyło, wszyscy uznali, że dobrze jest jak jest. Większość scen pozostaje w gestii samorządów obu szczebli, większość miejskich samorządów pozostaje wciąż we władaniu liberałów, ale partia rządząca zdobywa nowe przyczółki (i od razu robi się tam źle, na przykład co do obsadzania dyrekcji), a i Ministerstwo Kultury proponuje tu i ówdzie współprowadzenie instytucji, powiązane oczywiście ze współdecydowaniem.

I teraz proszę wykreować sobie przed oczami obrazek z przyszłości; niech będzie równie realistyczny jak u Kąckiego i Groszyńskiej. Oto próba w pewnym teatrze zostaje przerwana: przyszła wieść, że samorząd obniżył dotację. Uzasadniając to kryzysem, ale tajemnicą poliszynela jest niechęć władzy co do działań dyrektora: repertuaru, współpracowników. Obcięli pieniądze, przygotowywaną sztukę trzeba zawiesić. Aktorzy etatowi, którzy mają pensję w wysokości najniższej krajowej plus honorarium za każde wyjście na scenę, nie zobaczą w portfelu tego, co miał im dać nowy tytuł. Doangażowani stracą cały zarobek. Wszyscy siedzą w milczeniu. Nikt nie wypowiada robaczywej myśli, która lęgnie im się w głowach i która prędzej czy później wypełźnie na świat.

Nie chcę dalej oglądać tej sceny.

Jacek Sieradzki

Marcin Kącki KRZYCZ. BYLE CISZEJ. Reżyseria: Aneta Groszyńska, dramaturgia: Marcin Kącki, scenografia, kostiumy: Tomasz Walesiak. Premiera w Teatrze Nowym w Poznaniu 26 czerwca 2020.